

Andrzej Kidaj

Jasiek szarpidrut

Urodził się w tak zapadłej wsi, o której się mówi, że psy dupami szczekają. Google nawet nie pofatygowało się, żeby ją w swoich mapach jakoś oznaczyć i nazwać. Był wcześniakiem i lekarze nie dawali mu wielkich szans. Podobnie jak matce. Prowadzący poród machnął tylko ręką i wyszedł na korytarz.

Stara Szymonowa, która im towarzyszyła, westchnęła i przeżegnała leżącą. Potem pobiegła, dosyć żwawo jak na swój wiek, za lekarzem. Złapała go za głowę i przyciągnęła, jakby chciała przytulić do piersi. Jednak tylko nachyliła się do ucha i szepnęła.

- Słuchaj synek. Albo zrobisz wszystko, żeby utrzymać ich przy życiu, albo zrobię ci z dupy jesień średniowiecza, a tą budę zamknę serią pozwów o celowe narażanie życia pacjentów. Rozumiemy się? - wykrzywiła się w uśmiechu wciskając mu w rękę stułotowy banknot.

- T...tak - wystękał lekarz zastanawiając się dlaczego tak się przestraszył tej starej wariatki. Przecież chyba nie była zdolna do spełnienia swych gróźb? A może jednak?

Wrócił jednak do sali, umieścił dziecko w inkubatorze i osobiście nadzorował jego stan przez następne dni, aż ten stał się na tyle stabilny, że mógł go wydać matce na pierwsze karmienie piersią. Matce też się polepszyło.

Szymonowa codziennie ich odwiedzała, przynosiła coś do jedzenia i rozmawiała z lekarzem pilnując, żeby profesjonalnie dopełniał swych obowiązków. No więc dopełniał i już dwa tygodnie później można było ich wypisać do domu.

Zaraz potem odbył się chrzest, na którym było tylko kilka najbliższych osób z rodziny i oczywiście stara Szymonowa. Ojca nie było i nikt o niego nie pytał, chociaż wszyscy szeptali, jak to na wsi:

- Puściła się w sylwestra, to teraz ma.

- Ale z kim? Z Zenkiem od Dzidęgów?

- Nie, chyba z Mietkiem Halembą.

- Z Mietkiem? Przecież on ma żonę.

- No i co z tego? Chłop jak każdy inny. A jak mu żona nie daje, to szuka poza domem. Zresztą przy jednej dziurze to i kot zdechnie.

- Ale czemu nie wyskrobała?

- Sama jej spytaj.

- Psssst - ksiądz uciszył szepty, po czym uczynił znak krzyża nad głową dziecka i polał wodą święconą. - Ja ciebie chrzczę w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i daję ci na imię Jan.

I tak Jasiek został nowym członkiem wiejskiej społeczności. Mały, chudy i słaby, ale nad wyraz żywy. Tydzień później matka poszła już robić w polu, a dzieckiem zajmowały się sąsiadki nadzorowane przez starą Szymonową. Po ukończeniu czwartego roku biegał już z innymi dziećmi po okolicznych łąkach i lasach.

Zawsze był chudy i mniejszych od innych dzieci w jego wieku. Jednocześnie brzuch mu dziwnie sterczał, jakby właśnie objadł się zielonych jabłek lub śliwek. Białe, potargane włosy opadały mu zawsze na błękitne oczy, wiecznie wpatrzone gdzieś w dal. Jasiek często chodził zamyślony i oderwany od rzeczywistości do tego stopnia, że mógł wpaść na kogoś i nawet go nie poznać. Nieraz zresztą doprowadzało to do konfliktów z sąsiadami i nauczycielami, którzy uważali go za

niewychowanego gbura.

Zimą chodził do szkoły w starych butach z Caritasu i za dużej czapce. Wieczorami siadywał przytulony do pieca i odrabiał lekcje przy 40-watowej żarówce kołyszącej się na pojedynczym kablu. Czasami płakał z głodu, kiedy skończyło się jedzenie, a pomoc z MOPS-u jeszcze nie nadeszła. Latem zakładał jedną z dwóch starych i znoszonych koszul, równie znoszony buty i dziurawy, słomkowy kapelusz, z którym nigdy się nie rozstawał.

Matka od lat nie mogła znaleźć stałej pracy (zresztą na wsi i tak nie bardzo było gdzie), więc dorabiała tu i ówdzie, najczęściej pomagając sąsiadom za niewielkie pieniądze. MOPS im pomagał, ale wystarczało to ledwo na przeżycie a czasami nawet nie. Jasiek często więc zaspokajał głód tym, co znalazł w lesie i sadach sąsiadów, co często przyplącał rozwolnieniem, Zimą było gorzej. Czasami pomagała im stara Szymonowa, ale sama też na pieniądzach nie spała. Częściej więc służyła dobrą radą, uwagą, poświęconym czasem i wiedzą.

Jasiek był lekko opóźniony w rozwoju, co często było powodem do śmiechów i docinków nie tylko od strony rówieśników, ale także nauczycieli w szkole, do której chodził. Jednak z czytaniem i pisaniem jakoś sobie radził i przechodził z klasy do klasy, chociaż nie wiadomo, czy była to jego własna zasługa czy raczej litość albo nawet chęć jak najszybszego pozbycia się go ze szkoły. Nie spodziewano się jednak po nim niczego więcej. Spodziewano się raczej, że skończy gdzieś pod płótem z kosą pod żebrzem, albo zapity na melinie.

Ale Jaśka nie ciągnęło ani do alkoholu ani do rozróby. Do pracy zresztą też niekoniecznie. Jedyne, co go kręciło, to muzyka. Wszędzie ją słyszał, każdy dźwięk go zachwycał, a gdy tylko trochę podrośł, to już o niczym innym nie myślał.

Wysyłała go matka czasami do lasu po grzyby albo jagody, ale wracał z pustym koszykiem, wkładał brudnego palucha do gęby i sepleniał:

- Mamek. Tak mi tam w lesie grało, że ojej.
- Co ci tam grało synek? - pytała matka.
- Oj mamek. Wszystko mnie tam grało. I liście i trawy i drzewa i strumień.
- Zagram ci ja, zagram! Nie bój się!

Czasami mu przyłożyła szmatą przez głowę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już więcej nie będzie. Ale mógł obiecać, skoro mu tam grał cały las? I łąka. W sadach ćwierkały wróble, przed szkołą gruchały gołębie. Nawet echo pod mostem, gdzie chodził czasami łowić ryby. Wieczorami siadał przy oknie i słuchał wszystkich wiejskich odgłosów. Może nawet myślał, że to wieś gra specjalnie dla niego?

Jasiek uwielbiał chodzić do kościoła, chociaż nie był wierzący i w ogóle nie rozumiał, co to takiego ta wiara i kto to jest ten starszy facet z brodą, który umiał w siedem dni stworzyć świat, a jednocześnie pozwalał mu głodować. Ale w kościele były ORGANY! A gdy tylko usłyszał ich dźwięk, oczy od razu zachodziły mu mgłą i miał ochotę tańczyć i śpiewać. Co też często robił, aż w końcu ksiądz zakazał mu wstępu do świątyni i Jasiek musiał chłonać muzykę z zewnątrz. Raz udało mu się zakraść na balkon i nacisnąć kilka klawiszy. Ale gdy zamiast upragnionej muzyki usłyszał głośny ryk, uciekł i prawie nogi połamał zbiegając po kilka schodków na raz. Więcej grać na organach nie próbował, ale większą część niedzieli spędzał pod kościołem słuchając, tańcząc i śpiewając.

Latem pomagał w polu każdemu z wioski, który tej pomocy potrzebował. Dostawał za to jakieś marne grosze, ale częściej różgą po plecach, bo zamiast grabić czy widłami narzucać siano na wóz, stał i słuchał, jak wiatr „gwiżdże” w okolicach dyszla. Każdą wolną chwilę spędzał nad strumieniem strugając wierzbowe fujarki i zacinając się w palce starym nożem.

Nocami słuchał rechotu żab, szczekania psów, marcujących się kotów, świerszczy i innego

robactwa. Nie opuścił żadnej dyskoteki w remizie, chociaż nigdy nie wchodził do środka, bo za wejście się płaciło, a on nie miał ani grosza. Chował się więc w krzakach najbliższej jak się dało i słuchał przebojów disco polo. Ludzie tańczyli i śpiewali razem z Zenkiem Martyniukiem jego największe przeboje. Ściany remizy dudniły od basów, podłoga skrzypiała od przytupów. Czasami ktoś z kimś się pobił i wtedy Jasiak kulił się, żeby tylko nikt go nie zauważył. Częściej jednak z remizy wychodziły pary, żeby trochę się pościskać albo nawet coś więcej. Nie raz, gdyby tylko chciał, mógł dotknąć jakiegoś cycka albo pośladka. Ale przecież nie po to tutaj przychodził.

Kilka razy odważył się podejść pod samą remizę i zerknąć do środka przez szpary w drewnianych ścianach. Wtedy nie tylko lepiej słyszał, ale też mógł popatrzeć na wiejskie kapele prezentujące swoje wątpliwe umiejętności. Widział klawiszowców, którzy nie trafiali we właściwe klawisze, perkusistów niestrzymających rytmu a przede wszystkim gitarzystów, którzy trącąc struny wydobywali dźwięki wibrujące Jaśkowi w samym środku głowy.

Co by on dał, żeby móc trzymać takie cudencko, dotykać strun i wydobywać najpiękniejszą muzykę świata, niczym Carlos Santana. Ba! Ale skąd je wziąć? Przecież to kosztuje! Żeby chociaż ktoś pozwolił mu raz wziąć coś takiego do ręki... Gdzie tam! Marzenia... Mógł więc tylko słuchać i czasami patrzeć. Przynajmniej dopóki ktoś go nie nakrył. Jeśli wtedy nie zdążył szybko uciec, to dostawał kilka szturchańców na rozpęd.

- Wypad stąd gnoju, bo ci kości porachuje! - to najdelikatniejsze słowa, które zdarzyło mu się usłyszeć. Zazwyczaj były o wiele gorsze i rozbrzmiewały mu w głowie przez całą drogę, kiedy uciekał do domu.

Jasiak nie opuścił żadnej imprezy organizowanej w okolicy. Na weselach, chrzcinach czy dożynkach był stałym, chociaż nieproszonym i raczej niemile widzianym gościem. Nauczył się jednak tak ukrywać, że chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę z jego obecności, to rzadko udawało się go znaleźć. Zresztą dopóki nie pokazywał się na oczy, to nie stanowił większego problemu. A on słuchał i chłonał każdy dźwięk. Wracał potem do domu i całymi dniami się nie odzywał.

W końcu sam zrobił sobie coś w rodzaju ukulele z kawałka deski i sznurków do suszenia bielizny. Ale chociaż wydobywał tylko dźwięk podobny do pierdnięcia komara, to grał na tym od rana do wieczora udając, że jest gwiazdą disco polo w trasie koncertowej. I chociaż matka tłukła go szmatą (za zniszczone sznurki, za brak pomocy, za ucieczki z lekcji), aż nie miała już siły, to on i tak grał i grał. Przestał jeść i schudł jeszcze bardziej niż to możliwe. Tylko brzuch miał wciąż sterczący, czuprynę coraz gęstsza i niewidzący, wręcz nawiedzony wzrok.

Wciąż marzył tylko o jednym - o prawdziwej gitarze. Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We wsi był taki jeden Marcin, który miał gitarę. Ale nie taką zwykłą, tylko elektryczną. Podłączało się ją do prądu i nawet bez dotykania strun brzęczała jak rój szerszeni. Chłopak występował ze swoim zespołem prawie na wszystkich miejscowych imprezach, często też na dyskotekach w remizie. Jasiak dobrze wiedział, gdzie on mieszka i czasami zakradał się pod jego dom, żeby posłuchać, jak ćwiczy. Zazwyczaj sam, ale czasami też z pozostałymi chłopakami przygotowywali się do kolejnych występów.

Gitara stała przy łóżku oparta o ścianę, dokładnie na przeciwko okna i gdy tylko Janek odważył się zajrzeć do pokoju, to pieściła jego oczy a pośrednio także serce i duszę. Wiedział, że jest dla niego niedostępna i nie jest godzien nawet jej tknąć, jakby to była jakaś świętość. A jednak pożądał jej całym sobą. Chciałby chociaż raz wziąć ją do ręki, przytulić, pogłaskać gryf, dotknąć strun. Jego serce drżało na samą myśl o czymś takim, czuł niemalże erotyczne podniecenie.

Pewnego letniego wieczora nikogo nie było w pokoju, Marcin oglądał coś w telewizji. Ale okno było otwarte i wręcz zapraszało do wejścia. Gitara wręcz zdawała się szeptać: „weź mnie do ręki, dotknij, popieść, będę cała twoja”. Świerszcze jej wtórowały: „cyk cyk, weź ją, cyk cyk, zagraj”...

Cały pokój zdawał się pulsować i dudnić w rytm bicia jego serca, przyciągał i zapraszał. Czerwone, zachodzące słońce wpadało prosto w okno oświetlając dokładnie samą gitarę.

To wszystko było śliczne i prawie magiczne. Jasiiek patrzył coraz chciwiej oparty o zewnętrzny parapet. Strach zatrzymywał go w miejscu, ale jakaś nieprzewyciężona chęć ciągnęła go do środka. A gitara pulsowała razem z pokojem, to przybliżała się to oddalała. Ciemniała i rozjaśniała. To czary, wyraźne czary!

Tymczasem wiatr w okolicznych brzozech zaszumiał i Jasiiek wyraźniej usłyszał: „*Idź Janku, w pokoju nie ma nikogo... Idź Janku*”...

Słońce zaszło, ale księżyc był w pełni. Słowik w ogrodzie pogwizdywał raz ciszej raz głośniej: „*Idź! Pójdź! Weź!*”

Daleko w stawie żaby kumkały: „*Tam nie ma nikogo*”...

Zanim Jasiiek się zorientował, co w ogóle robi, był już w pokoju. Stawiał ostrożne kroki zbliżając się do gitary, a jego brudny t-shirt przesunął się na tle ściany, chociaż nikt tego nie widział. Czas się zatrzymał, a on sam przestał istnieć. Prawie zapomniał o oddychaniu. Za to serce waliło mu w piersi coraz mocniej i głośniej.

Żaby przestały rechotać, słowiki pogwizdywać a świerszcze cykać. Tak, czas zdecydowanie się zatrzymał. Gitara była już na wyciągnięcie ręki i Jasiiek już tą rękę wyciągał. Już czuł gładkość drewna, moc strun, wystarczył chwycić gryf i...

Drzwi do pokoju nagle się tworzyły.

- Kto tu jest?

Jasiiek zamarł z nadzieją, że w mroku stanie się niewidzialny, ale nagle zapaliło się światło. Jasiiek zmrużył oczy.

- Ktoś ty? - spytał groźnie właściciel gitary sięgając po kij bejsbolowy. Zaraz jednak rozpoznał chłopca. - Czego tu szukasz złodzieju jeden?

- Ja... nic... tylko... - jękał się Jasiiek cofając w stronę okna.

- Ale co nic, tylko? Zaraz ci nogi z dupy powyrywam gnoju jeden! Co chciałeś ukraść?

- Ja... nic... tylko... - powtórzył Jasiiek dopadając okna. Przechylił się przez parapet i wypadł na zewnątrz.

- Mamo! Tato! - usłyszał podnosząc się z trawy. - Złodziej! Jest pod domem! Łapcie go!

Krzyki goniły go do samego domu, chociaż nie był pewien, czy faktycznie je słyszał, czy rozbrzmiewały tylko w jego głowie. Potem przykrył się kołdrą razem z głową i do samego rana nie odkrywał, jakby to miało pomóc mu w ukryciu się przed całym światem.

Rano do do mu zastukał posterunkowy w towarzystwie Marcina i jego rodziców.

- O co chodzi? - spytała matka.

- Ci państwo mówią, że pani syn włamał się wczoraj wieczorem do ich domu i coś ukradł.

- Ukradł? Niemożliwe! Co takiego ukradł?

- Gitarę.

- Gitarę? Niemożliwe. Jasiiek! Chodź no tu! - krzyknęła.

Po chwili na ganek wydreptał na bosaka Jasiiek ze spuszczone głową i palcem w ustach.

- Czy to on? - posterunkowy spytał chłopaka od gitary.

- Tak. To jego wczoraj widziałem.

- Przykro mi, ale musimy zabrać chłopaka na przesłuchanie. Pani też pojedzie z nami. Proszę się ubrać.

- Jak chciał... tylko pograć... ja nic... nie ukradł... - stękał Jasiek raz po raz pociągając nosem. Co chwilę zwisał mu z niego smark, który chłopak wycierał rękawem razem ze łzami. Nie wykazywał chęci skorzystania z chusteczek higienicznych.

- A jednak gitara zniknęła. A to już jest przestępstwo - powiedział przesłuchujący Jaśka policjant notując coś w swoim kajecie. - Jak to wyjaśnisz?

Chłopak wzruszył ramionami i znowu wytarł nos.

- Nie wziąłem jej.

- Posiedzisz sobie w areszcie, to może sobie przypomnisz, co z nią zrobiłeś - policjant wstał i wyszedł z pokoju przesłuchań zostawiając chłopca samego.

- Przyznał się?

- Mówi, że jej nie wziął. Trudna sprawa. Jest opóźniony, ale... ja mu wierzę. Trochę go znam. Ma świra na punkcie muzyki, ale nie jest złodziejem.

- Co z nim zrobimy?

- No właśnie, jak powiedziałem, trudna sprawa, bo wszystko świadczy przeciwko niemu. Mamy trochę związane ręce. Wypuścić nie możemy, a pchać do poprawczaka za głupią gitarę, której nie wziął, też niedobrze. On tam nie przeżyje tygodnia.

- No to może jeszcze raz przesłuchamy tą rodzinę? Niespecjalnie mi się podobają.

Na drugi dzień Jasiek już był w domu, oczyszczony z zarzutów. Marcin przyznał się, że schował gitarę, żeby zrzucić winę na niedorozwoja, bo bardzo go irytowało, gdy ten często przyglądał mu się tak pożądliwie. Chyba nawet trochę się go bał, więc skorzystał z okazji, żeby się go pozbyć, przynajmniej na jakiś czas.

Marcin w areszcie spędził niecałe pół godziny, rodzice wpłacili kaucję. A potem grzywnę za składanie fałszywych zeznań. I tak wykpił się niskim kosztem za chęć zniszczenia dzieciakowi życia. A być może nawet potencjalnie jego ukrócenia.

Tymczasem policjanci zrobili małą zrzutkę i kupili tanią, ale prawdziwą gitarę, którą podarowali Jaśkowi, żeby już nie musiał zakradać się do obcych domów.

- Mamek, to dla mnie? - spytał chłopak trzymając gitarę ostrożnie, jakby to była najświętsza relikwia. Matka spojrzała na policjantów, którzy pokiwali głowami.

- Tak, to dla ciebie. Możesz teraz grać ile dusza zapagnie.

W oczach chłopaka pojawiły się łzy. Jasiek chwycił mocniej gitarę i bez słowa uciekł z nią za stodołę. Tam grał cały dzień, potem noc i kolejny dzień. Bez wytchnienia. A kiedy w końcu bezładne brzdąkanie zaczęło układać się w coraz bardziej harmonijne melodie, chłopak po prostu umarł z głodu.

Zapraszam Cię do moich miejsc w internecie:

<https://ad3.eu>

<https://kidaj.ad3.eu>

https://twitter.com/a_kidaj

<https://facebook.com/andyk77>

<https://facebook.com/KidajBlog>

<https://instagram.com/a.kidaj>